

Zasadzki

Dubhe zabrała się do pracy od razu, już następnego dnia. Sprawa zapowiadała się złożona i trudna, wymagała zatem skrupulatnych przygotowań.

To była jej ulubiona część całego przedsięwzięcia. Sam akt kradzieży pozostawał zwyczajnym obowiązkiem, interesującym ją tylko z uwagi na lekkie poczucie ekscytacji, jakie w niej wzbudzał, i pieniądze, które w ten sposób zdobywała. Rozpoznanie było natomiast czymś zupełnie innym.

Poza tym była to rzadka okazja do nawiązania kontaktu z ludźmi. Mistrz nauczył ją, jak zabijać człowieka oraz gdzie i w jaki sposób wymierzać ciosy. Przez długi czas było to wszystko, co wiedziała na temat ludzi – o całej tej masie osób poza ich małą rodziną, stworzoną przez nią i przez Mistrza. O tym, jak żyją normalni ludzie, nie wiedziała prawie nic. Przeprowadzanie rozpoznania stało się sposobem na marzenie o życiu, na przyjrzenie się mu i otarcie się o nie przynajmniej przez chwilę.

Początkowo błąkała się wokół domu Thevorna nocą. Na zewnątrz było zazwyczaj dwóch wartowników: jeden ustawiony przy wejściu, a drugi spacerujący wzdłuż pałacowych murów. Dubhe wielokrotnie okrążyła posiadłość, a kiedy już poczuła się pewnie, weszła do obszernego ogrodu. Nauczyła się rozpoznawać każdą roślinę, każdy kamień w murze, sprawdziła, jakim krokiem poruszali się wartownicy, poznała ich zwyczaje. Nawet jej oddech zsynchronizował się z oddechem dwóch mężczyzn.

Z zewnątrz udało jej się zrozumieć wiele rzeczy dotyczących wnętrza. Na podstawie obserwacji dziewczyna wykonała szkic domniemanego rozmieszczenia pokojów.

Następnie stwierdziła, że czas wejść w kontakt z kimś miejscowym, kimś, kto byłby skłonny poopowiadać jej bez skrępowań o domu i jego zwyczajach. Wypatrzyła pewną dziewczynkę, córkę służącej pracującej tam od lat. Miała szczerą, uczciwą buzię i naiwność właściwą osóbkom w jej wieku, wydała się więc idealną osobą.

Zaczepiła ją na jednym z wielkich targów w Makracie, kiedy stała niezdecydowana, które jabłka kupić. Nietrudno było nawiązać rozmowę – były prawie rówieśnicami.

Dziewczynka, Man, nie dała się długo prosić. Wpadły jeszcze na siebie na targu kilka razy, dziwiąc się niepomniernie tym nieoczekiwanym zrządzieniom losu, i tak nawiązały bliższą znajomość.

Jak Dubhe doskonale przewidziała, Man była otwarta i naiwna, gotowa obdarzać wszystkich zaufaniem.

Dubhe podała się za służącą i wymieniła nazwisko bardzo sławnej rodziny, której dom

miała okazję zwiedzić podczas pewnego włamania na początku swojej kariery. Bardzo szybko wspólne narzekanie na kaprysy państwa niepostrzeżenie przerodziło się w dyskusję o zwyczajach rodzin, u których służyły.

– Pan czuje się w domu bardzo bezpiecznie, to dlatego nigdy nie wychodzi. Ale zawsze zachowuje środki ostrożności: na przykład ma trzy sypialnie i co noc wybiera, w której będzie spał.

Dubhe tak podejrzewała. Co noc zmieniał się światło, które gasło w domu jako ostatnie. To lekko komplikowało całą sprawę. Będzie zatem musiała przeszukać trzy różne pokoje. Nic wielkiego.

– Tak, to prawda, ma lekką obsesję na punkcie bezpieczeństwa... Właściwie to nie wiem, dlaczego, rozumiesz... Może to starość; moja matka mówi, że w pewnym wieku człowiek... – Man zrobiła wymowny gest, pukając się palcem w skroń. – No i dlatego przed jego pokojem zawsze stoi wartownik.

Dubhe uśmiechnęła się, a jej myśli pędziły jak szalone.

W tym okresie spała bardzo niewiele. Zawsze tak było przed wykonaniem zadania. Noce spędzała na obserwacjach, a dni na urabianiu sobie Man. Wracała do domu o świcie i przez parę godzin odpoczywała. Często nawet wolała wcale nie kłaść się spać, ale raczej trwać na rozmyślaniach. Wtedy udawała się do Ciemnego Źródła i nastuchiwała. Koncentrowała się na dźwiękach tego ponurego miejsca, dopóki jej umysł całkiem się nie oczyścił i nie słychać było niczego poza przyrodą, jakąś rośliną pośród innych roślin, czy ziemią stapiającą się z ziemią.

Tego ćwiczenia nauczył ją Mistrz, dawno, jeszcze na początku jej szkolenia. Miało ono pomóc wyciszyć się przed robotą.

To zdarzyło się jednego z takich wieczorów. Dubhe postanowiła, że tej nocy nie pójdzie do pałacu. Po ogrodzie mogłaby już poruszać się z zamkniętymi oczami, a zwyczajnie pana również były jej raczej znane.

Po kolacji, kiedy zapadł całkowity mrok, poszła do Ciemnego Źródła. Widać było tylko niewyraźne gwiazdy, słabo połyskujące nad jej głową.

Usiadła przed źródłem i napiła się trochę wody, aby całkiem się rozbudzić i zachować jasność umysłu. Na ziemi było miękko, pełno suchych liści. Zbliżał się listopad.

Dubhe spróbowała zamknąć oczy, starając się zrelaksować, ale była nadzwyczaj spięta. Wydawało jej się, że jest w jakiś sposób zagrożona, mimo że jedynymi dźwiękami, które słyszała, był jęk drzew targanych wiatrem i powolne kapanie wody.

Wmawiała sobie, że to nic takiego, ale jej szósty zmysł nigdy dotąd jej nie oszukał.

Skoncentrowała się na odgłosach. Miała naturalny dar rozpoznawania rytmicznych dźwięków. Umiejętność tę udoskonalila przez lata szkolenia. Skrzypienie drewna pod uderzeniami wiatru. Szmer liści jeszcze trzymających się gałęzi. Woda. Woda regularnymi kroplami spadająca do źródelka. Pełny i doskonały dźwięk kropli wpadającej do małego lustra wody, jego słabe echo na czarnych ścianach rozpadliny.

Potem jakiś nagły, zupełnie niepasujący odgłos i jednocześnie lekki ból, jakby ułucie, na przedramieniu.

Ciało zareagowało zamiast niej. Dłoń błyskawicznie podążyła do noży, które zawsze miała przy sobie. Nie musiała nawet myśleć. Ostrze zabłysło przez moment i zaraz po tym usłyszała stłumiony jęk i cichy, głuchy odgłos upadku.

Serce podskoczyło jej do gardła. Zrobiło jej się ciemno przed oczami, a myśl pobiegła do tamtej nocy sprzed wielu lat, do tych samych noży, które rzuciła i które osiągnęły celu, a potem jeszcze dalej w przeszłość, aż po widok wytrzeszczonych na nią białych oczu, oczu, których nigdy nie udało jej się zapomnieć, oczu Gornara, które co noc przychodziły, by ją oskarżać.

Dźwięk własnego zdyszanego oddechu sprawił, że się ocknęła. Polanę wypełniała cisza.

Najpierw obejrzała sobie ramię. Z górnej części przedramienia wypływała strużka krwi. Nietrudno było zrozumieć, dlaczego. W ciele tkwiła cieniutka igła. Trucizna. Oczywiście.

Ruszyła w kierunku, z którego dobiegł jęk. Drżała, pewnie z powodu zdenerwowania tymi dwoma gorączkowymi sekundami, a przynajmniej tak sobie mówiła.

Zbliżyła się, zachowując ostrożność. Na ziemi leżała jakaś postać, nieruchoma i blada w świetle księżyca, z nożem tkwiącym w piersi.

Może nie umarł.

Podeszła jeszcze bliżej i przyjrzała się dokładnie. To było prawie dziecko! Chłopak. Już nie oddychał.

Dubhe zacisnęła pięści, zamknęła oczy i odpędziła obrazy, jakie budziło w niej to ciało.

Do diabła.

Odwróciła wzrok od jego twarzy, próbując przeanalizować jego strój. U boku miał sztylet. Czarny, pochwa i rękojeść w formie węża. W dłoni trzymał dmuchawkę. Niewątpliwie próbowano go jakoś zamaskować, ale każdy element wskazywał na Gildię.

Broń, której używali tylko Zabójcy z Gildii, młody wiek chłopca, a nawet sposób, w jaki ją zaatakował.

To odkrycie zagłuszyło wszystko inne, nawet drżenie, w jakie wprawiło ją to nieprzewidziane zabójstwo.

Oderwała od niego spojrzenie i co tchu popędziła do groty. Wiedziała, że jeżeli naprawdę została otruta, nie powinna biec jak szalona, ale wszystkie antidota, jakie znała, były właśnie tam.

Kiedy tylko weszła do domu, rzuciła się do półek. Umiała swobodnie poruszać się wśród tych wszystkich buteleczek, rozróżniała je po prostu po kolorze. Znała trucizny używane przez Gildię. Teraz porozstawiała flakoniki na stole i dopiero wtedy się zatrzymała.

Przeanalizowała stan swojego ciała tak, jak zrobiłby czarodziej lub kapłan. Czowała się dobrze. Nadspodziewanie dobrze. Była zadyszana, ale spowodował to tylko bieg; serce biło jej szybko, ale mocno i regularnie. Widziała dobrze, nie bolała jej głowa ani nie miała zawrotów. Nie znała żadnej trucizny, która po kilku minutach od wstrzyknięcia nie dałaby żadnych efektów. Popatrzyła na igłę, którą jeszcze ścisnęła kurczowo w dłoni. Była ledwo ledwo czerwona na czubku. Jej szkarłatna krew. Nic poza tym.

Na wszelki wypadek i tak zażyła różne antidota, po małej dozie każdego. Tak uczył ją Mistrz, ale nigdy dotąd nie miała okazji wprowadzić tej rady w życie. Modliła się, żeby dobrze przypomnieć sobie dawki i żeby odtrutki zadziałały.

Przez jakiś czas uważnie obserwowала swoje samopoczucie, z niepokojem kontrolując bicie serca i oddech, ale nic się nie stało.

Tajemnica. Prawdziwa tajemnica.

Poszła pochować ciało chłopca. Chętnie darowałaby sobie ten przykry obowiązek, ale musiała to zrobić.

Znowu mu się przyjrzała. Zamknięte oczy, twarz skupiona, prawie pogodna, kręcone włosy pokrywające czoło. O ile lat mógł być od niej starszy? Niewiele. Mistrz opowiadał jej o tym: w Gildii zaczyna się wcześnie. Już od dziecka szkolenie, a w wieku dziesięciu lat pierwsze zabójstwo.

To prawie tak jak ja – pomyślała.

To musiało być jedno z jego pierwszych poważniejszych zadań i tak źle się skończyło... Umarł z zamkniętymi oczami i tylko dlatego Dubhe mogła tak długo mu się przyglądać. Nie potrafiła patrzeć w zgaszone oczy nieboszczyków. Pozbawione życia źrenice przejmowały ją trwogą i za każdym razem, za każdym przeklętym razem widziała w takim spojrzeniu

rozpacz pustych oczu Gornara, pierwszej ofiary w jej życiu.

Zabiłam, znowu zabiłam.

Wszystkie hałasy, wiatr, zimno, a nawet strach z powodu owej tajemniczej igły przestały istnieć wobec tej paraliżującej świadomości.

Znowu zabiłam. To moje przeznaczenie.

Starła się o tym nie myśleć, wytłumaczyła sobie, że to było w obronie własnej. Stłumiła swoje myśli dopiero przy rytmicznych ruchach łopaty kopiącej dziurę. Zmęczenie stopniowo ogarniało jej ramiona, dopóki nie zorientowała się, że już nic nie czuje i jest prawie tak nieżywa, jak ten chłopak.

Potem pobiegła do źródła, tak jak tamtej pierwszej nocy, kiedy zabiła, towarzysząc Mistrzowi. Zrzuciła ubranie, z impetem rzuciła się w wodę, zanurzyła się głęboko w obejmującą ciemność wody, z rozpuszczonymi włosami unoszącymi się wokół twarzy.

Długo pozostawała pod wodą, nie oddychając, w nadziei, że woda przeniknie do jej wnętrza, umyje ją, oczyści.

Przysięgała, że już nigdy więcej nie zabije, ślubowała to na śmierć swojego Mistrza. A teraz złamała tę przysięgę.

Owo zdarzenie było niezwykle poważne i Dubhe musiała to wszystko dobrze zrozumieć.

Czy tamten chłopak naprawdę należał do Gildii? I dlaczego wysłali go, aby ją zabił?

Poszła do Makratu, do Jenny. Kiedy wyjaśniła mu, o co chodzi, zrobił zdumioną i przerażoną minę.

– Chcesz, żebym przeprowadził wywiad na temat Gildii?

– Nie chodzi mi o pełen wywiad... Posłuchaj tylko, czy nie krążą jakieś plotki...

– Przecież ja nawet nie wiem, gdzie znajduje się Gildia Zabójców, a już na pewno nie chcę mieć do czynienia nawet z jednym z jej członków!

Sława Gildii była straszliwa. Oficjalnie była to tylko dziwaczna sekta, jakich wiele namnożyło się w tych czasach wojny i rozpacz, i jedynie dzięki tym pozorom oraz ochronie niektórych możnych mogła wciąż istnieć. Tak naprawdę gromadziła najniebezpieczniejszych morderców Świata Wynurzonego. Mówiono też, że wewnątrz sekty odbywają się dziwne rytuały krwi. Niewielu jednak naprawdę coś na ten temat wiedziało. Gildia potrafiła strzec swoich tajemnic.

Mistrz Dubhe był w przeszłości jej członkiem, ale nigdy wiele jej na ten temat nie mówił. Dopiero kiedy wszystko było już skończone, zdobył się na odwagę, aby opowiedzieć

jej, w jaki sposób i dlaczego opuścił sektę, i od tamtej chwili dziewczyna nienawidziła tej nazwy. Ostatnie dwa lata spędziła na ciągłej ucieczce, byle z dala od sekty. Dlatego teraz musiała wiedzieć, co się dzieje.

– Proszę cię tylko o wysondowanie sprawy w kręgu twoich kontaktów. Nic więcej. Nawet się o tym nie dowiedzą. Nie mogą wiedzieć.

Twarz Jenny dalej wyrażała strach.

– Proszę cię tylko o pomoc – poddała się w końcu Dubhe. – W tej chwili nie mogę się tym sama zająć, a pilnie muszę się czegoś dowiedzieć.

Jenna nieco złagodniał.

– Zapłacę ci za tę przysługę...

Jenna machnął ręką.

– No, dobrze już, dobrze... A co z tamtą robotą?

– Wiesz, że nie mogę ci nic powiedzieć.

– Ale czy zapłata jest tak dobra, jak mówili?

Dubhe wymieniła kwotę.

– Wiesz, z tak królewskim wynagrodzeniem mogłabyś pomyśleć o wycofaniu się, nie?

Dziewczyna zdumiała się, że ta sama myśl, która na chwilę nawiedziła ją wtedy, przy Ciemnym Źródle, przyszła do głowy również Jennie.

Kiedy wracała z domu przyjaciela, spróbowała wyobrazić sobie własne życie bez zabijania i kradzieży, jakby to wszystko, co zdarzyło jej się do tej pory, nigdy nie istniało. Normalne życie, takie jak to, które podglądała podczas długich spacerów po miastach. Znaleźć sobie mężczyznę, którego by kochała, budzić się zawsze w tym samym łóżku, nie zadowalać się już samym tylko faktem przeżycia, egzystencją bez żadnego celu i byciem wiecznie ściganą.

Ogarnęło ją dziwne poczucie nierealności. A jednak ten obraz miał pewne atrakcyjne aspekty. W końcu, gdzieś tam w środku, Dubhe była zmęczona.

Wieczór kradzieży nadszedł zbyt szybko. Dubhe była gotowa, ale nadal gnębił ją niepokój. Tajemnica chłopca z Gildii nie została jeszcze wyjaśniona. Jenna nie dawał znaku życia, z czego wnioskowała, że nie udało mu się niczego dowiedzieć.

Kiedy noc była już późna, wyszła z domu i skierowała się do okazałego pałacu Thevorna. W bladym świetle księżyca wydawał jej się ponury i niezmierny.

Pokonanie okalającego posiadłość zewnętrznego muru nie było dla niej problemem. Przez jakiś czas siedziała przycupnięta w trawie ogrodu, dopóki nie usłyszała, jak

wartownicy mijają ją po raz pierwszy. Było ich dwóch i przemierzali trasę w przeciwnych kierunkach. Dubhe zmierzyła ich kroki i dostosowała się do ich tempa.

Znowu odgłos kroków. Dubhe przywarła do muru, wstrzymując oddech. Żołnierz minął ją, niczego nie zauważając.

Dziewczyna ostrożnie ruszyła wzdłuż muru, dopóki nie dotarła do interesującego ją miejsca, szczególnie łatwego do przeskoczenia, na wprost zasłoniętego przez wysoki cyprys. Dziesięć metrów wyżej był komin, doskonały punkt dostępu do budynku.

Poczekala na kolejne przejście straży i zaczęła wspinać się na cyprys. Strażnik przeszedł raz jeszcze, tym razem głośno ziewając. Kiedy tylko nieco się oddalił, Dubhe skoczyła: dach był odległy o niecałe dwa metry.

Wszystko szło gładko.

Rozpłaszczyła się na dachówkach i czołgając się, dotarła aż do komina. Ukryła się za nim. Teraz była już poza zasięgiem strażników.

Przyszła kolej na linę. Zaczepiła harpun w miejscu, które wydawało jej się wystarczająco stabilne, po czym spuściła linę w dół komina. Zagłębiła się w ślad za nią w czarny otwór.

Komin był tak ciasny, że dziewczyna ramionami ocierała o cegły.

Schodziła dalej, powoli i ostrożnie, zapierając się stopami w tej niewielkiej przestrzeni, jaką miała do dyspozycji. Wreszcie dostrzegła blade światło; dotarła do podstawy komina. Wyjrzała na zewnątrz. Tak jak przewidywała, znajdowała się w pustej sali, jednym z wielu salonów, jakim dysponował ten pałacyk.

Dubhe nie musiała nawet zaglądać do mapy, znała na pamięć rozmieszczenie wszystkich pokoi.

Wyszła z kominka i skierowała się ku widniejącym w głębi drzwiom. Przeszła przez ciąg pomieszczeń – wszystkie były obszerne i podobnie umeblowane – aż wreszcie dotarła do początku długiego korytarza na najwyższym piętrze. Teraz następowała najtrudniejsza część zadania.

Thevorn każdej nocy spał w innej sypialni, ale zawsze wszystkie trzy były strzeżone, tak powiedziała jej Man, służąca. Trzeba było je sprawdzić jedna po drugiej, a dostać się tam można było jedynie z zewnątrz, przechodząc przez okno przylegającego pokoju.

Dubhe zobaczyła pierwszego wartownika stojącego sennie przed najbliższymi drzwiami. Szybko i cicho wkradła się do sąsiedniego pokoju. Miał on balkon, więc jej zadanie okazało się łatwiejsze niż przypuszczała.

Wewnątrz nie było Thevorna. Pokój był pusty. To nic, nawet lepiej.

Zaczęła przeszukiwać pomieszczenie. Nie wiedziała dokładnie, czego szukać, ale miała doświadczenie z domami, które „czyściła” już od dwóch lat. Wiedziała tyle o tajnych pokojach i mechanizmach ich otwierania, że w zasadzie szła na pewniaka.

Jej poszukiwania nie przyniosły rezultatów. Żadna ze ścian raczej nie kryła tajemnych pokoi.

Pudło. To nic, noc jest długa.

Dziewczyna zawróciła i podjęła poszukiwania. Było późno, w pobliżu nie było służby, a nawet strażnicy ograniczali się do obowiązkowej rundki po głównych korytarzach.

Dubhe nie miała problemów z ich uniknięciem, przechodząc z pokoju do pokoju.

Przy drugiej próbie miała mniej szczęścia. Pokój sąsiadujący z sypialnią był niewiele większy od schowka i miał tylko małe, wąskie okienko. Na zewnątrz żadnego balkonu. Na szczęście Dubhe dostrzegła wąski gzyms. Otworzyła okno i poczekała, aż strażnik w ogrodzie minie to miejsce. Następnie przebiegła po gzymsie kilka kroków dzielących ją od następnego okna. Jego otwarcie nie nastąpiło jej trudności i już po chwili była w środku.

Łóżko było zasłonięte ciężkimi, aksamitnymi storami. Dubhe podeszła i sprawdziła, czy ktoś tam leży. I rzeczywiście, ujrzała tam Thevorna, wstrząsanego niespokojnym snem. A miał powody do niepokoju. Tej nocy chodziło tylko o jego dokumenty, ale tak naprawdę w niebezpieczeństwie było jego życie. Tego wieczoru przysłano ją, ale następnego prawdopodobnie przyjdzie kolej na zabójcę.

Zabójca – oto, kim naprawdę jestem.

Potrząsnęła głową, jak robiła zawsze, kiedy starała się odpędzić jakąś natrętną myśl.

Rozpoczęła takie samo poszukiwanie, jakie już przeprowadziła w poprzednim pokoju. Tym razem starała się być ostrożniejsza, bo sen męczyzny wydawał się lekki i niespokojny. Rozejrzała się wokół z uwagą, delikatnie dotknęła murów. Niewiele czasu zajęło jej rozpoznanie pustej ściany.

Oto i ona.

Zaczęła gładzić mur w poszukiwaniu jakiegokolwiek znaku. Wreszcie znalazła. Arras z wytartym brzegiem.

Podniosła go lekko. Uśmiechnęła się. Zobaczyła zamknięte drzwiczki.

Pochyliła się na wysokość zamka i przyjrzała mu się uważnie. Następnie wyjęła to, czego teraz potrzebowała. Był to wytrych pasujący do wielu typów zamków, cenny prezent od Jenny. Włamywanie się było jedyną czynnością, jakiej Mistrz jej nie nauczył. Zresztą mordercy rzadko potrzebna jest ta umiejętność. Jenna wypełnił tę lukę.

Pokoik był prawdziwym schowkiem. Dubhe musiała się skulić, żeby tam wejść, bo

sufit był bardzo niski. Na pierwszy rzut oka pomieszczenie wydawało się puste. Dziewczyna na wszelki wypadek przymknęła za sobą drzwi i zaczęła obmacywać ściany. Było ciemno, mogła się zdać tylko na zmysł dotyku. Dzięki doskonale wyćwiczonemu słuchowi zza drzwi słyszała ciężki oddech Thevorna.

Jej palce natrafiły na jakąś nierówność. Wyglądało to na jakiś symbol, którego samym dotykiem nie potrafiła wyraźnie rozpoznać. Kiedy nacisnęła to miejsce mocniej, położona obok cegła wysunęła się o kilka cali. Dubhe wyjęła ją delikatnie i wsunęła dłoń w dziurę, która się przed nią otworzyła. Usłyszała szelest pergaminu.

Zrobione – powiedziała do siebie. Czowała się dziwnie zakłopotana, nie mogła doczekać się końca.

Delikatnie wyciągnęła kartki i przygotowała sakwę, która miała je pomieścić. I wtedy to się stało.

Było tak, jakby wewnątrz niej coś się przelamało. Nagle poczuła silny ból w piersi, a oddech zamarł jej w gardle.

Umieram – pomyślała i bardziej niż strach sparaliżowało ją zdumienie. Poczuła ból w przedramieniu, potem już nic, tylko czerń.

Kiedy doszła do siebie, leżała ścierpięta na ziemi, w absolutnej ciemności izdebki. Za drzwiami wciąż rozbrzmiewało ciężkie posapywanie Thevorna. Spróbowała się podnieść, ale kręciło jej się w głowie i z trudem oddychała.

Oparła się o ścianę, rozpaczliwie starając się złapać oddech. Serce biło jej nieregularnie, a powietrze, które wdychała, wydawało jej się niewystarczające do wypełnienia płuc. Czowała się źle. Nie potrafiła jednak rozpoznać, co jej dolega. Sama, w domu nieprzyjaciela. Podczas wypełniania zadania. Ogarnęła ją panika.

Głupia, pomyśl lepiej, jak stąd wyjść!

Podniosła się. Nogi jej się trzęsły. Wyszła z pokoiku, rozejrzała się dookoła zamglonym wzrokiem. Musiała wypełnić swoje zadanie do końca.

Dotarła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Gzyms wydał jej się nagle zbyt wąski, żeby można było po nim przebiec. Usłyszała szurgot za drzwiami.

Nie teraz...

Wyszła, postawiła stopy na gzymsie. Zakręciło jej się w głowie i złapała się ściany.

Nie teraz!

Oparła dłonie o mur i zaczęła prześlizgiwać się wzdłuż niego, najostrożniej jak potrafiła. Wyjść najszybciej, jak tylko można, starając się ograniczyć szkody.

– Kto tam?

Zaniepokojony głos z dołu. Wartownik.

Dubhe spojrzała przed siebie; pokój nie był daleko. Ostatnim wysiłkiem zaczęła biec w kierunku okna.

– Stój!

Nie było czasu. Dubhe nie zatrzymała się, przebiegła na drugą stronę i stukła szybę dłonią.

Zaczynała czuć się lepiej, ale już było za późno.

Wskoczyła do pokoju, słysząc dobiegające z zewnątrz głosy.

– Tam ktoś jest!

– Co się, u diabła, dzieje?!

– Ktoś tam jest! Widziałem cień wślizgujący się do północnego salonu! Zawiadomcie tych w środku!

Dubhe zaklęła i rozejrzała się. Był tu inny kominek. Mogłaby spróbować tej samej drogi, którą weszła. Kiedy drzwi pokoju zaczęły się uchylać, rzuciła się ku czarnemu otworowi.

– Kto tam?

Dubhe uchwyciła się palcami cegieł, zaparła stopami i zaczęła się wspinać.

– Jest tam kto?

– Wydaje mi się, że nikogo nie ma, ale lepiej sprawdzić.

Dziewczyna starała się przemieszczać, jak mogła najszybciej, ale wylot nagle zwężał się ku górze, czyniąc jej zadanie jeszcze trudniejszym. Ściany zaciskały się wokół niej i znowu miała kłopoty z oddychaniem. Na zewnątrz kominka słychać było głosy, dźwięki dobywanych mieczy i nerwowe kroki po drewnianej posadzce.

Trzymaj się jeszcze, wytrzymaj!

Resztką sił wysunęła się na zewnątrz, ocierając się o cegły i drapiąc sobie ramiona. Spojrzała w dół. Na odległość skoku był balkon, a niżej ogród, niestrzeżony. Dubhe zeskoczyła niżej i wylądowała bez trudu. Przywarła do podłoża, a następnie ześlizgnęła się na balkon.

– Tam! Coś na balkonie!

Nie było czasu do stracenia; w mgnieniu oka przeskoczyła przez balustradę i rzuciła się w pustkę. Tym razem lądowanie było mniej udane i Dubhe mocno uderzyła się w kolano.

Zerwała się i ukryła za żywopłotem. Ogród jeszcze był pusty, ale już nie na długo.

Pobiegła do muru i pospiesznie go sforsowała. W ciemnościach nocy miała nieco trudności z odnalezieniem drogi. Kulejąc, skierowała się do jakiegoś zaułka, a kiedy przemierzyła większą jego część, usiadła na ziemi.

Oddychała spokojnie. Czekala. Chłód nocy sprawił, że znów poczuła się sobą. Otworzyła oczy i zobaczyła nad sobą biały, nieruchomy księżyc.

Tym razem naprawdę niewiele brakowało.

Nigdy nie spotkało jej nic podobnego. Ani podczas pracy, ani w żadnym innym momencie jej życia. Zawsze cieszyła się żelaznym zdrowiem. Co, u licha, jej się stało?

Teraz wszystko wydawało się w porządku; serce spokojnie biło w piersi, oddech był powolny i regularny, umysł jasny. Jeszcze przez chwilę posiedziała w zaułku, po czym podniosła kaptur płaszcza i wmiszała się w cienie Makratu.

6

Ostatni kawałek układanki

Yeshol był w bibliotece sam. Jak zawsze. To było jego schronienie, miejsce, o którym wszyscy inni Zabójcy dzielący z nim przestrzeń Domu słyszeli, ale niewielu z nich kiedykolwiek tam weszło. Bo była to jego biblioteka, zgromadzona przez niego tom po tomie, i tylko on był godny studiowania tych ksiąg. Zresztą, Aster też zawsze był sam. Yeshol nigdy się nie łudził, że może uważać się za jego przyjaciela czy nawet powiernika. Od Astera zawsze oczekiwał tylko rozkazów.

Teraz, kiedy sam został przywódcą, teraz, kiedy jako Najwyższy Strażnik stał się jedynym przewodnikiem tych, którzy podzielali wielki sen Astera, pragnął, aby jego ludzie patrzyli na niego w ten sam sposób.

Na stole leżała księga oraz pergamin. Całe życie Yeshola toczyło się wokół książek. W dzieciństwie, kiedy szkolił się w dawnych sposobach zabójstw, połykał je pospiesznie. Później Aster, widząc jego pasję, dał mu trochę swoich ksiąg, chociaż w tamtych latach Yeshol był bardziej wykonawcą niż doradcą.

Były to dawne czasy, które Yeshol już od czterdziestu lat, każdego wieczoru, starał się ożywić swoim piórem.

Ale nie tylko to zajmowało Yesholowi wieczory. Jego projekt był o wiele bardziej ambitny. Jedną po drugiej odszukiwał książki z niezmierzonej biblioteki Astera. Wiedział, że klucz do wszystkiego, podstawa jego planu znajduje się tam, w owych tomach. W dniu, w którym Twierdza upadła, sądził, że wszystko już stracone.

W ich poszukiwaniu zaczął przemierzać cały Świat Wynurzony wzdłuż i wszerz. Nie było to łatwe. Czasami znajdował tylko luźne kartki, często na wpół zniszczone i nadpalone. Rzadko trafiały się całe, dobrze zachowane tomy; bywały ukryte wśród innych ksiąg w anonimowych prowincjonalnych bibliotekach, a nieraz walały się pomiędzy rozmaitymi rupieciami na stoiskach jakichś handlarzy starzyzną. Niekiedy były to nawet pisma, które wyszły bezpośrednio spod ręki Astera.

Trwało to całe lata, ale teraz część dawnej biblioteki Twierdzy została odtworzona. Oczywiście, była to nieznaczną część księgozbioru, ale i tak znaczyło to wiele w tych czasach niewierzących, którzy nazywali Astera Tyranem i bali się go bardziej niż śmierci.

Każdej nocy Yeshol kartkował księgi jedna po drugiej, szukając odpowiedzi na dręczące go wątpliwości, potwierdzenia słuszności swego mglistego jeszcze, choć wybitnego pomysłu, który pielęgnował między snem a jawą niczym najcenniejsze ze swych marzeń. Najpierw, kiedy był jeszcze tylko jednym z wielu zabójców: tym, który przyniósł ze sobą Relikwię i który zgromadził rozproszonych braci, ale jeszcze niegodnym większej władzy, były to godziny wydarte czynnościom związanym z zabójstwami. Potem, w latach przywództwa, stało się to jego głównym zajęciem.

I wtedy to odnalazł.

Była to wielka chwila, zarówno dla niego, jak i dla Gildii, więc pobiegł do świątyni, aby wzruszonym głosem modlić się do Thenaara.

– Dziękuję, że wysłuchałeś moich modlitw! Wiem, że uczyniłeś to wszystko nie dla mnie, który jestem tylko Twoim sługą, ale dla Twojej chwały, i ja za ten dar, który mi przekazałeś, przyniosę ci świat. Nadejdzie Twój czas.

Jednak obraz całości nie był jeszcze jasny. Brakowało niektórych fragmentów, nowych ksiąg, a zwłaszcza jednej, będącej podstawą wszystkiego. Materiału, którego należało poszukiwać wszędzie i koniecznie odzyskać: po dobroci lub siłą. Do tej pory jeszcze go nie odnalazł.

Tego wieczoru w drżącym świetle świecy robił notatki z jakiegoś tomu Magii Zakazanej – tak dawnego, że bliskiego epoce Elfów.

. Pergamin, nad którym się pochylał, zappełniał się eleganckimi znakami jego drobnej i starannej kaligrafii. W ciągu lat zestarzał się, ale nie tak znowu bardzo. Jakieś pasmo siwizny wśród kędzierzawych włosów, w niebieskich oczach początki krótkowzroczności. Jego ciało jednak pozostało to samo: zrywna maszyna do zabijania, którą konstruował w ciągu wielu lat szkolenia. Zwycięzca zawsze jest przede wszystkim zabójcą.

Pogrążony w pracy, ponownie zanurzył gęsie pióro w kałamarzu.

– Wejść – powiedział, nie podnosząc głowy znad pracy.

Jego ordynans stał za drzwiami i musiał być zdumiony, bo Yeshol usłyszał, jak się waha. Mógł sobie wyobrazić, jak stoi z podniesioną, gotową do uderzenia w drewniane drzwi pięścią.

Słyszał go już od jakiegoś czasu. Jego ucho było jak zawsze bardzo wyczulone. Słyszał jego kroki, szelest szat i domyślił się, że idzie do niego.

Chłopak pojawił się w drzwiach.

– Wasza Ekscelencjo, jakiś człowiek czeka na was w świątyni.

Delikatnie zamknął za sobą drzwi.

Yeshol odłożył książkę i gęsie pióro na biurko. Na dzisiejszy wieczór koniec studiów, ale naprawdę było warto.

Po wyjściu ze swojego pokoju zanurzył się w pogmatwaną sieć bibliotecznych korytarzy. Orientował się w niej z łatwością, w końcu sam to miejsce zaprojektował i widział, jak powstaje. Następnie przeszedł do kolejnego labiryntu, labiryntu korytarzy Domu – ich nowego domu na czas oczekiwania, aż znów będą mogli osiąść w podziemiach Wielkiej Krainy, kiedy wreszcie nadejdzie pora.

Przemierzał długie, wąskie przejścia i niekończące się korytarze, przecinające się pod dziwnymi kątami. Wreszcie dotarł do ciasnych schodów. Wszedł po nich zdecydowanym krokiem i wkroczył do szerokiej, czarnej pieczary, ledwo rozjaśnionej przez płomień palący się w trójnogu z brązu stojącym obok olbrzymiego, otulonego ciemnością posągu. Nikłe światło obejmowało tylko najbliższe parę metrów i nie dochodziło ani do ścian tej sali, ani też do jej niezwykle wysokiego sklepienia.

Nieopodal posągu stał owinięty płaszczem człowiek.

Jego twarz pogrążona była w cieniu, ale widać było, że jest to bardzo wysoki i dobrze zbudowany mężczyzna. Robił imponujące wrażenie, a jednocześnie rzuciła się w oczy zwinność jego ruchów.

– Zawsze mnie dziwi ten brak szacunku, jaki mi okazujesz, oraz lekceważenie, z jakim to robisz: nikt na świecie nie miałby odwagi kazać mi tyle na siebie czekać.

Jego głos był donośny, głęboki i pewny siebie oraz w jakiś sposób fascynujący.

Yeshol uśmiechnął się.

– Dobrze wiecie, Wasza Wysokość, że służę potęgom o wiele wyższym niż wy.

– Toteż cię nie ganię – brzmiała sucha odpowiedź.

Yeshol wystąpił naprzód i lekko się skłonił. Mężczyzna natomiast uniósł obie pięści i skrzyżował je na piersi. Yeshol zdumiał się i odpowiedział tym samym powitaniem.

- Czy mam to uważać za znak? Zaczynacie czuć się częścią naszego Domu?*
- Po prostu szanuję wasze zwyczaje i waszego boga.*
- Ale w niego nie wierzycie...*
- Osoba taka jak ja nie jest stworzona do wiary w boga, ale do bycia nim.*
- Teraz to wy zdumiewacie mnie swą impertynencją... Dla mnie jest to w zasadzie bluźnierstwo.*

– Thenaar mi przebaczy. Zresztą wydaje mi się, że oddaję mu niemałe usługi.

Yesholowi podobał się ten człowiek. Przenikliwy i obłudny dokładnie tak, jak on sam, a także potężny i ambitny. Wprawdzie nigdy nie mógłby stać się wielką postacią w historii Gildii, taką jak Aster, ale z pewnością był wspaniałym sprzymierzeńcem. Yeshol nigdy całkowicie nie porzucił myśli, aby uczynić z niego Zwycięskiego – przynajmniej w pewnym stopniu, nie zdradzając przed nim wszystkich tajemnic. W każdym razie doceniał jego przychylność. Był to przecież Dohor, najpotężniejszy człowiek Świata Wynurzonego i jego przyszły jedyny monarcha.

Przeszli z cienia do światła. Dohor miał krótkie, jasne, prawie białe włosy, a jego niebieskie oczy były uważne i czujne.

- A zatem? – zapytał.*
- Chłopak poszedł wczoraj – odpowiedział Yeshol.*
- I co?*
- Nie żyje, ale wiemy, że wypełnił swą misję.*

Oczy Dohora zabłyśły.

- Doskonale. Absolutnie doskonale.*
- Mam nadzieję, że rozumiecie, iż nie była to dla nas mała strata. Nie lubimy marnować życia ludzkiego na misje w końcu przecież drugorzędne.*

– Obiecałem ci zapłatę i dostaniesz ją.

Yeshol uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Czy jesteście jednak pewni, że owa Dubhe podoła?*
- Uważacie, że ponosiłbym tyle trudów, aby mieć ją tu, w Domu, gdyby nie była w stanie? Nigdy nie widziałem nikogo tak obiecującego. Jest o wiele lepsza od wielu naszych w pełni uformowanych zabójców oraz cieszy się pewną sławą jako złodziejka. Przeszła szkolenie Zwycięskich.*

– Wystarczy, żeby przyniosła mi te przeklęte dokumenty. Zresztą mówią one też o was, więc i w waszym interesie jest, żeby wszystko się udało.

– Zaszedłem tam, gdzie jestem, ponieważ potrafię dobierać sobie podwładnych.

Yeshol odczekał kilka chwil.

– A jeżeli chodzi o zapłatę?

Dohor spojrział na niego spod oka.

– Można powiedzieć o mnie wiele, ale na pewno nie to, że nie spłacam swoich długów.

Yeshol znieruchomiał na chwilę w postawie obronnej. W Świecie Wynurzonym wszyscy wiedzieli, w jaki sposób Dohor spłaca własne długi, a los Ida był tego oczywistym dowodem. Po chwili jednak zobaczył, jak Dohor uśmiecha się z rozbawieniem.

Odsunął fałdę płaszcza i wyciągnął spod niego ciężką sakwę. W środku znajdowała się wielka czarna księga z krwistoczerwonym pentaklem wyrysowanym na skórzanej okładce, z miedzianymi ćwiekami, na wpół zjedzona przez czas.

Yeshol otworzył ją delikatnie. Pergaminowe stronicy zatrzeszczały złowieszczo. Każda z nich wypełniona była symbolami i formułami naniesionymi prawie dziecięcym pismem, tu i ówdzie zatartymi przez duże plamy wody i śnież. To ona. Rozpoznałby ją wśród tysięcy. Musnął jej strony drżącą dłonią, z miłością popatrzył na kaligrafię. Przypomniał sobie pochylonego nad tą książką, zatopionego w pisaniu Astera z jego dziecięcym czołem zmarszczonym z wysiłku i koncentracji. Zobaczył, jak Aster odwraca się do niego i uśmiecha łagodnie mimo zmęczenia.

„To ty?”

„Nie powinniście tak dużo pracować, mój Panie!”

Spojrzenie Astera było smutne i łagodne.

„Robię to przecież dla Thenaara, czyż nie? Opracowałem na nowo dawne Zakazane Formuły. Pomogą nam przywołać jego czas”.

„Mój Panie...”

– A więc?

Głos Dohora przywrócił go do rzeczywistości.

– To ona – powiedział ledwo słyszalnym szeptem.

– Doskonale. Powiedziałbym, że i tym razem doprowadziliśmy sprawę do końca.

Mężczyzna znów owinął się płaszczem.

– Teraz wiesz, czego od ciebie oczekuję, prawda?

– Jak najszybciej pokażę wam rezultaty moich badań, ale najpierw muszę dogłębnie przeanalizować ten ostatni fragment, którego brakowało w moim projekcie.

Dohor zbliżył się do Yeshola i nachylił się do wysokości jego twarzy. Jego twarde i przenikliwe oczy przeszły Yeshola na wskroś.

– Bardzo ci pomogłem, chyba wiesz o tym? – wyszeptał. – Ja i ty jesteśmy

nirozzerwalnie związani, a teraz odbudowuję ci na nowo tę kryjówkę, na której tak ci zależy.

– Wydaje mi się, że zawsze odplacałem wam całkowitą lojalnością – powiedział Yeshol, starając się utrzymać zdecydowany ton. W końcu rozmawiał z niewierzącym.

– I nie zapominaj, kiedy nadejdzie czas, obiecałeś mi miejsce obok siebie.

– Tak się stanie.

Yeshol pospiesznie zszedł po schodach. Historia zmieniała się tu, teraz.

Przemierzył korytarze aż do kolejnych schodów, a następnie zszedł w dół, do biblioteki, do zajmowanego wcześniej stołu i do biurka, gdzie nacisnął ukryty pod drewnem przycisk, którego dokładne umiejscowienie znał tylko on.

Usłyszał cichy odgłos dochodzący zza znajdującej się za nim ściany i ujrzał drzwi wylaniające się zza wypełnionych książkami regałów. Znowu przebiegł na złamanie karku schody prowadzące do ciemnego pokoju, do jego schowka, tam, gdzie krył się i pulsował jego sen. Zatrzymał się w progu z książką ściśniętą w ramionach jak skarb.

Było to niewielkie pomieszczenie o cylindrycznym kształcie. Jego ściany były grubo ciosane, pokryte zielonkawą i białą pleśnią, na której wyraźnie odznaczały się setki nakreślonych krwią symboli. W środku nie było nic poza surowym stołem w jednym rogu oraz małym i niewygodnym taboretym.

Zadyszany Yeshol stał w progu i uśmiechał się.

Przed nim znajdowała się mleczna kula o bladym, martwym, niebieskawym kolorze, rzucająca na ściany posępne światło. Była zawieszona w powietrzu nad postumentem. Nad postumentem szklana gablota, a w niej kula. Wewnątrz niej wirowało coś, co wydawało się niewyraźną sylwetką o zmiennym i nieokreślonym kształcie. Obracało się to powoli, jakby próbując zakrzepnąć, znaleźć jakąś formę.

Yeshol popatrzył na kulę z zachwytem.

– Oto ona – powiedział, pokazując kuli księgę. – Właśnie tego od lat szukałem, i oto jest! Przyniósł mi ją Dohor. On, niewierzący, pomaga nam przywrócić Thenaara. Oto, w jakich czasach przyszło mi żyć! Ale z pomocą tej księgi wszystko się zmieni, rozumiesz? Zapomnij o mojej dawnej porażce, która doprowadziła Cię do tego okropnego stanu, zapomnij o tym, bo będę mógł naprawić swój błąd.

Upadł na kolana i z pełnym uwielbienia wzrokiem utkwionym w kuli podniósł księgę ku niebu.

– Niech będzie chwała Thenaarowi za ten wielki dzień! Niech będzie chwała Thenaarowi!

Jego modlitwa przeniknęła znajdującą się nad nim skałę, przemierzyła puste korytarze Domu i dotarła aż do stóp wielkiego posągu w świątyni.

7

Proces

** * **

Przeszłość II

Dubhe siedzi sama na strychu. Nogi oplecione ramionami, broda oparta na kolanach, oczy szeroko otwarte i spuchnięte od płaczu. Nie wie, ile już czasu spędziła ukryta tam, na górze. Widzi tylko, że jest późna noc, a na niebie świeci wspaniały księżyc.

Gornar nie żyje. To Renni poszedł zawołać dorosłych. Nad rzekę przybiegło ich wielu, przynajmniej dziesięć osób, a wśród nich rodzice Gornara. Jego matka zaczęła wrzeszczeć i płakać, i wcale nie przestawała. Dubhe nie była w stanie zrobić nic innego, tylko też krzyczeć.

– Nie chciałam! Nie chciałam! – Nikt jej jednak nie słuchał. Kiedy przybył kapłan, zaniecono Gornara do jego domu. To on powiedział, że chłopiec nie żyje.

Nie żyje.

Nie żyje.

Dubhe nie pamięta dokładnie, co się stało potem. Jej matka płakała, a ojciec tulił ją do siebie. Ona sama też z początku rozpacziała, ale z czasem ucichła i na wszystko opadła cisza. Widziała krzyczących ludzi, rwących sobie włosy z głowy, ale wszystko odbywało się w ciszy i wydawało jej się nieskończenie odległe.

To nie są ludzie z Selvy. To nie jest moje życie, to nie jestem ja.

Potem również i myśli jedna po drugiej oddaliły się i pozostał tylko ponury obraz oczu Gornara, dwóch białych, znieruchomiałych plam tkwiących w jej umyśle.

Po powrocie do domu jej rodzice zaczęli dyskutować tym cichym, powściągliwym tonem, który przyjmują, kiedy mówią o ważnych sprawach.

Dubhe poszła wtedy na strych, nie wiedząc, dlaczego to robi, i zamknęła się tam. Łzy same spływały jej po policzkach, ale nie była smutna. Po prostu nie czuła nawet, że istnieje.

W porze kolacji przyszła do niej matka.

– Zejdź do nas, powinnaś coś zjeść.

Ten zbolaty, zafrasowany i łagodny ton wydawał jej się prawie nieznamy.

Nie odpowiedziała. Nie mogła. Nie miała już głosu.

– To może później? Zostawić dla ciebie coś dobrego?

Wchodziła jeszcze później, za każdym razem przemawiając tym słodkim głosem. Podeszła do niej, przytuliła ją, płakała na jej ramieniu. Nic nie wzruszyło Dubhe i nawet jej tzy się zatrzymały.

Prawdopodobnie minął cały dzień, bo pamiętała, że słońce całowało ją przez okno, a niebo było błękitne jak nigdy.

Dzisiaj rzeka będzie wspaniała. Przy takim słońcu świetnie łowi się ryby. Mathon i inni będą już przy rzece, będą się bawić. Dołączę do nich, będziemy się razem bawić, pogadam z Pat, powiem jej, że bardzo kocham Mathona. A Gornar jeszcze raz zabierze mi węża, a ja będę protestować, ale nie będę się z nim bić, bo on jest wodzem.

– Dlaczego się nie odzywasz? Dlaczego nic nie mówisz?

Jej matka krzyczy, jest też ojciec.

Matka nią potrząsa, Dubhe czuje ból, ale się nie skarży.

To ciało nie jest moje. Ja jestem nad rzeką, blisko Gornara, a on mi mówi, że go zabiłam.

Ojciec chwyta matkę, siłą odciąga ją od dziewczynki.

– To normalne, że tak jest... Stało się coś strasznego, to normalne.

Nie trzeba długo czekać, aby dom wypełnił się innymi głosami, obcymi głosami, które przebijają się przez posadzkę i docierają aż do niej. Burczy jej w brzuchu, przeraźliwie bolą ją nogi, ale nie może się ruszyć.

– Sprawa jest bardzo poważna, chyba tego nie rozumiecie.

To głos starca z wioski, Trarka.

Jej matka tylko płacze.

– To chyba wy nie rozumiecie. – To silny i zbolaty głos jej ojca. – Jak możecie choćby nawet pomyśleć, że coś takiego mogło zdarzyć się umyślnie?

– Wcale tak nie twierdzimy, Gorni.

To Thom, ojciec Renniego.

– Musisz jednak zdawać sobie sprawę z bólu rodziców Gornara.

– To był nieszczęśliwy wypadek.

– Nie zamierzamy podawać tego w wątpliwość.

– Wobec tego nie rozumiem, o czym jeszcze mamy rozmawiać!

– Sprawa i tak jest poważna. Dubhe zabiła chłopca.

- To był wypadek, do diabła, wypadek!*
- Uspokój się, jesteśmy tu po to, żeby porozmawiać.*
- Wy nie chcecie rozmawiać, wy chcecie skazać moją córkę, małą dziewczynkę!*
Jej ojciec krzyczy. Odkąd Dubhe sięga pamięcią, nie zdarzyło się nic podobnego.
- Renni mówi, że ona zrobiła to umyślnie... że podniosła jego głowę i uderzyła nią o kamień.*
- Wy chyba zwariowaliście... po prostu powariowaliście...*
- Chyba nie zaprzeczysz, że taka gwałtowność nie jest u dziecka normalna...*
- Dzieci się bawią! Dzieci walczą! Kiedyś podczas walki wybiłem ci dwa zęby, pamiętasz? Gdybym źle cię uderzył, mogłeś nawet umrzeć.*
- Nie uderza się głową dziecka o skałę, nie chcąc go zabić.*

Minęło kilka dni, a dom pogrążony jest w ciszy, jakby był owinięty watą. Dubhe zaczęła już jeść, ale niewiele mówi. Zresztą nikt w domu nie ma wielkiej ochoty na rozmowy. Dubhe prawie cały czas spędza na strychu. To jedyne miejsce, gdzie czuje się dobrze. Kiedy jest na dole, nie może uniknąć nabrzmiałego płaczem spojrzenia matki ani zaszpeconej i zdenerwowanej twarzy ojca. Piętro niżej wydarzenia nabierają kształtów i stają się rzeczywiste. Na strychu czas nie istnieje i Dubhe może chodzić tam i z powrotem, jak jej się podoba, i całkowicie wymazać tamten dzień nad brzegiem rzeki. I tak robi. Przez krótkie i cenne chwile udaje jej się myśleć o czymś innym, i w głębi serca dalej potrafi kochać Mathona.

Niedługo wszystko się skończy, będę mogła wrócić na zewnątrz. Czeka mnie niezapomniane lato.

Pewnego wieczoru do jej pokoju wchodzi ojciec.

– Śpisz?

Od tamtego popołudnia Dubhe nie może już spać spokojnie. W nocy, kiedy jest w łóżku, boi się, a jeżeli uda jej się zasnąć, z reguły ma przerażające koszmary.

– Nie, nie śpię.

Ojciec siada na brzegu łóżka. Patrzy na nią.

– Jak... jak się czujesz?

Dubhe wzrusza ramionami. Nie wie.

– Ludzie z wioski chcieliby z tobą porozmawiać.

Dubhe sztywnieje. Zebrania ze starcem są sprawą dorosłych. Dzieci nigdy nie mogą w

nich uczestniczyć.

– Dlaczego?

– Bo... no wiesz... Z powodu tego, co się stało.

Dubhe czuje, jak łzy podchodzą jej do gardła.

– Ja... nie wiem, co miałabym powiedzieć...

Ojciec gładzi ją po policzku.

– Wiem, że to trudne i przykre, ale przysięgam ci, że to ostatnia nieprzyjemna rzecz, jaka spotyka cię w tym okresie.

Łzy spływają same.

– Nie chcę...

– Ja też nie chcę, ale wioska zdecydowała, rozumiesz? Nie mogę sprzeciwić się wiosce... Chcą tylko, żebyś opowiedziała im historię. Opowiesz, co się stało, a potem o tym zapomnimy, zgoda?

Dubhe podnosi się na łóżku, przytula do ojca i płacze, płacze – jak tamtego dnia nad brzegiem rzeki, jak od tamtej pory nie płakała.

– Ja nie chciałam, nie chciałam! Bo on zaczął wpychać mi głowę pod wodę, a ja się przestraszyłam! Nie wiem, jak to się stało, ale on w pewnym momencie już się nie ruszał! I była krew, on miał otwarte oczy i patrzył na mnie ze złą twarzą, i krew, krew w wodzie, na trawie...

Ojciec też ją obejmuje.

– Powiesz tylko tyle – mówi złamanym głosem – a oni zrozumieją, bo to była tylko straszna pomyłka, okropna historia, w której nie ma żadnej twojej winy.

Odrywa się i znowu gładzi ją po twarzy.

– Zgoda?

Dubhe kiwa głową.

– Pójdziemy do nich za dwa dni. Ale do tamtego czasu chciałbym, żebyś o tym nie myślała. Obiecaj mi, że się postarasz.

– Tak.

– A teraz śpij.

Ojciec ostatni raz ją ściska i przepętniona nowym spokojem dziewczynka kładzie głowę na poduszce. Po raz pierwszy od wielu nocy nie ma koszmarów.

Pokój jest szary i zadymiony. Z zapachem dymu miesza się woń ludzi, wielu osób stłoczonych w sali o drewnianych ścianach.

Zbiegli się wszyscy. W Selvie już od wielu lat nie ma morderstw, nawet najstarsi mieszkańcy nie pamiętają, kiedy ostatnio zwołano tego typu zebranie.

W pierwszym rzędzie siedzą rodzice Gornara. Zamknięci w swym bólu, unikają spojrzenia Dubhe. Za bardzo przypominają jej własnych rodziców, siedzących po przeciwnej stronie, też w pierwszym rzędzie.

Za nimi tłumy ludzi, którzy nie mają z tym nic wspólnego, ale i tak chcą być obecni, chcą widzieć, uczestniczyć. W wiosce zamieszkannej przez trzysta dusz zabójstwo jest sprawą wszystkich.

Nie ma dzieci. Dubhe jest jedyną osobą poniżej piętnastego roku życia.

Męczący szmer wypełnia przestrzeń sali, oczy wszystkich są zwrócone na nią, a palce wskazują na nią ukradkiem. Dubhe ma tylko nadzieję, że to się szybko skończy.

Czeka mnie wspaniałe lato, powtarza sobie niczym jakieś zaklęcie. Kiedy już minie ten straszny wieczór, będzie słońce i zabawy, wystarczy myśleć tylko o nich.

Wchodzą starcy. Jest ich pięciu, a wśród nich Trarek – ten, który rządzi wioską – który razem z równymi sobie podejmie decyzję. Jest stary, a wszystkie dzieci czują wobec niego onieśmienie i strach. Ma surowy wyraz twarzy. Dubhe nie pamięta, żeby kiedykolwiek widziała, jak się śmieje.

Starcy siadają i w jednej chwili nad całym zgromadzeniem zapada cisza.

Dubhe wykręca spocone dłonie.

Trarek odczytuje jakąś rytualną formułę, dziewczynka nie rozumie, o co chodzi. To pierwszy proces, w którym bierze udział.

Drzwi otwierają się i wchodzi jej przyjaciele. Dubhe jest zdziwiona, ale nie ma odwagi, aby na nich spojrzeć. Opuszcza głowę, a w uszach rozbrzmiewają jej tylko słowa Renniego: „Zabiłaś go! Zabiłaś!”.

Trarek wzywa ich jednego po drugim. Najpierw Pat, potem Mathon, potem Sams. Pyta ich, co wydarzyło się nad rzeką.

Wszyscy mają spięte głosy, uciekający wzrok i wypieki na twarzy. Mruczą pod nosem, a ich wspomnienia wydają się poplątane.

– To on zabrał jej węża – mówi pewnie Pat.

– Zatem uważasz, że Gornar popełnił błąd? Że to dlatego stało się to, co się stało?

– Nie... ja...

– Mów dalej.

Dubhe nie słucha. Dubhe nie chce pamiętać.

– Klóciliśmy się wielokrotnie, wiele razy... Czasami nawet ja i Dubhe się biłyśmy, ale

nic się nie stało... a przynajmniej nic poważnego, jakieś siniaki czy zadrapania... To był nieszczęśliwy wypadek!

Teraz Pat patrzy na nią i Dubhe wydaje się, że widzi w jej spojrzeniu zatroskanie i zrozumienie. I jest jej wdzięczna, nieskończenie wdzięczna.

Mathon jest o wiele bardziej neutralny. Opowiada wszystko pośpiesznie i bez emocji. Nigdy nie podnosi wzroku, nie przerywa, dokładnie odpowiada na pytania.

Sams jest zmieszany, czasami sobie przeczy. Dubhe sądzi, że on myśli to samo, co ona: że zadaje sobie pytanie, co u diabła robi w tej sali, rozmawiając o sprawach, których nie rozumie i które dotyczą tylko dorosłych.

Potem przychodzi Renni. Jest pewny siebie, zdecydowany i wydaje się zły.

– To ona zaczęła. Wpadła w straszny szal, kopła, gryzła, nie przestawała. Musiałem ich rozdzielić, boby nie przerwała.

– Przecież to nieprawda... – mamrocze Dubhe.

– Nie twoja kolej. Milcz – ucina chłodno Trarek.

Niewzruszony Renni ciągnie dalej.

– Wzięła jego głowę i uderzyła nią o kamienie, ze złością. Chciała zrobić mu krzywdę. I nie płakała nawet przez chwilę, a my byliśmy bardzo przestraszeni.

Jej ojciec porusza się niespokojnie na krześle, chciałby zabrać głos.

Kiedy Renni opisuje tę scenę, matka Gornara zaczyna płakać.

– Zabiła mi go, zabiła mi go...

Dubhe odczuwa zmęczenie, chciałaby już stąd pójść. Zastanawia się, dlaczego Renni jest na nią zły, dlaczego mówi z taką złością.

– Dostaniesz to, na co zasługujesz, możesz być pewna – mruczy do niej przez zęby, odchodząc.

Dubhe zaczyna płakać. Obiecała ojcu, że będzie grzeczną dziewczynką, że wytrzyma, ale nie daje rady. Tamto popołudnie powraca w myślach i Dubhe ogarnia strach.

– Czy nie możemy kontynuować innym razem? Nie widzicie, że jest jej źle? – próbuje bronić jej ojciec.

– Nigdy nie będzie jej tak źle, jak mojemu synowi – mówi z nienawiścią matka Gornara.

Trarek przywołuje wszystkich do porządku. Jest zdenerwowany.

– Dzisiaj wyjaśnimy całą tę sprawę, dla dobra wszystkich i dla dobra twojej córki, Gorni. To już i tak za długo trwa.

Potem Trarek patrzy na nią. Robi to po raz pierwszy od początku procesu. Ale jego

oczy są surowe i tak naprawdę jej nie widzą. Jego wzrok przechodzi przez nią i dociera do tłumy stłoczonego za jej plecami.

– Teraz twoja kolej, opowiadaj!

Dubhe stara się otrzeć łzy, ale jej się to nie udaje. Łkając, opowiada całą historię. Przynajmniej szczegóły popołudniowych zabaw, jak wszystko dobrze szło, jak świetnie się bawili. A poza tym Gornar zawsze był dla niej niemiły.

– Bo ja jestem silna, a on o tym wiedział. Z naszej grupy tylko mnie się trochę bał.

Następnie opowiada o wężu, o tym pięknym wężu połyskującym wśród traw. Był wspaniałym okazem do jej kolekcji i ona go chciała. A potem kłótnia.

– Ja nie wiem, jak to się mogło stać... Nie wiem, nie pierwszy raz się z kimś biłam.

– Zdarzało ci się to już wiele razy? – pyta Trarek.

– No tak... – odpowiada z wahaniem Dubhe. – Ale ja nie chciałam... Nie wiem, co robiłam... On pociągnął mnie za włosy, wepchnął mi głowę pod...

Łzy są silniejsze i Dubhe nie może już mówić. Ojciec trzyma ją za ramiona.

– Już dosyć. Czy to wam nie wystarczy? – pyta następnie Trarka wyzywającym tonem.

– Tak, to wszystko.

Starcy podnoszą się, wychodzą, a w tym czasie dwójka młodych ludzi oddziela Dubhe od jej ojca.

– Co to, u diabła, znaczy? – pyta ze złością Garni.

– Że twoja córka musi być w bezpiecznym miejscu.

– Do licha, przecież to dziecko! Czy to możliwe, że nikt nie zauważył czegoś tak oczywistego?

Dubhe próbuje ucześć się ojca, ale jej dłonie są słabe, a tamci dwaj młodzieńcy są od niej o wiele silniejsi.

Kiedy ją wyprowadzają, widzi jeszcze swojego ojca przytrzymywanego przez innych mężczyzn, a matkę we łzach leżącą na ziemi.

Umieścili ją w zamkniętym na klucz pokoju znajdującym się obok sali, w której odbył się ten swojego rodzaju proces. W jednym rogu stoi zapalona świeca, a migoczące światło rzuca na ściany zniekształcone cienie. Dubhe czuje się samotna i chciałaby mieć przy sobie ojca. Słońce, lato, przyjaciele – wszystko wydaje jej się stracone i odległe. Jakimś sposobem wie, że nie będzie już więcej zabaw, że może nawet nie będzie już Selvy. Przeczuwa to mgliście, ale czuje, że tak jest. To, co zrobiła nad rzeką, zmieniło wszystko.

Przychodzą po nią w środku nocy. W wielkiej sali są wszyscy, jakby nie minęła nawet chwila od momentu, kiedy ją wyprowadzono. Brakuje tylko jej ojca, a matka płacze rozpaczliwie.

Starcy stoją już rzędem, niewzruszeni niczym posągi.

Przemawia Trarek.

– Niełatwo było nam podjąć decyzję w sprawie tego okropnego wydarzenia. Nasza wspólnota nie pamięta zabójstw. A tu zarówno ofiara, jak i morderca są dziećmi. Rozważyliśmy dogłębnie wszystko, co zostało powiedziane przez osoby obecne w chwili tragedii, i staraliśmy się podjąć decyzję, kierując się sprawiedliwością i umiarkowaniem. Zabójstwo karane jest śmiercią, a Dubhe z całą pewnością splamiła się tą winą, co do tego wszyscy są zgodni. Jest to jednakże tylko dziecko i o ile z jednej strony nie można jej uznać za całkowicie świadomą tego, co zrobiła, z drugiej wszakże, nikt nie może zabić, nie ponosząc żadnych konsekwencji. Wyrządzona została szkoda, naruszono spokój Selvy, a życie Gornara musi zostać w jakiś sposób odkupione. Dlatego postanowiliśmy, że Dubhe zostanie wygnana z Selvy. Jutro oddział zajmie się wyprowadzeniem jej daleko od naszej wioski. Natomiast jej ojciec, odpowiedzialny za zachowanie córki, zostanie zatrzymany w celi tak długo, jak uznamy to za stosowne.

Chaos. Matka Dubhe zaczyna krzyczeć, a matka Gornara nie może się powstrzymać.

– Powinnaś zginąć, powinnaś zginąć i ty, tak jak mój syn!

W ogólnym zamieszaniu Dubhe stoi na swoim miejscu jak skamieniała. Potem jej matka rzuca się na nią, ściska ją i dziewczynka nagle pojmuje. Płacze, krzyczy.

Ten sam chłopak, co wcześniej, szybko ją chwytą, starając się wyrwać z objęć matki.

– Zostawcie mi ją przynajmniej na tę noc, tylko tę noc! Jej ojciec się z nią nie pożegnał, ja się z nią nie pożegnałam!

Ale żołnierz już ją złapał.

Dubhe kopie, wrzeszczy, wymierza ciosy. Jak tamtego popołudnia, z tą samą furią; żołnierz klnie.

– Uspokój się, do licha!

Dubhe gryzie go z całej siły, czuje w ustach smak krwi, chłopak zmuszony jest ją puścić. Ale błyskawicznie łapie ją za włosy i szarpie mocno. Wykręca jej ręce na plecy i dalej ciągnie ją za włosy. I tak wyprowadza ją, ciągnąc za sobą, a stopy dziewczynki uderzają o drewnianą posadzkę.

Dubhe próbowała się buntować, tak się wyrywała, że w końcu zamknęli ją w celi. Tam

krzyczy wniebogłosy, aż zaczęło palić ją gardło. Woła tylko jedno: prosi o zobaczenie się z ojcem. Uważa, że tylko on może ją uratować.

Ale nikt nie przychodzi; Dubhe jest sama, sama ze sobą i ze swoją karą.

Budzą ją o świcie. Niebo na zewnątrz jest rozdzierająco różowe. Dubhe jest jeszcze otepiąta. Wciąż ten sam chłopak wykorzystuje to, żeby zawiązać jej oczy.

Idzie zrezygnowana, chłopak trzyma ją za rękę. Dziewczynka czuje pod palcami opatrunek na dłoni, którą zraniła mu poprzedniej nocy.

Chłopak bierze ją na rękę i ładuje na coś, co musi być wozem. Dubhe próbuje objąć go za ramiona, ale on niezgrabnie się wywija.

Musi ich być dwóch, Dubhe słyszy inny głos, należący do dorosłego mężczyzny, może jednego ze starców. Rozpoznaje go. To tkacz. Sprzedaje tkaniny w miastach aż po Makrat i prawie nigdy nie ma go w wiosce. Ani razu z nim naprawdę nie rozmawiała, ale to od niego matka bierze materiały na ubrania dla niej.

– Jedźmy, bo nigdy nie dotrzemy.

Wóz rusza z szarpnięciem, a chłopak związuje jej rękę sznurem.

Dubhe płacze w milczeniu. Chciałaby pożegnać się z ojcem, przytulić się do niego i przeprosić za to, że jest morderczynią, jak powiedział Trarek. I chciałaby uściskać też matkę, uściskać ją mocno i przeprosić za wszystkie węże i bestie, które zawsze zносиła do domu. Ale przede wszystkim chciałaby się dowiedzieć, dlaczego: dlaczego to wszystko się stało?

Mijają godziny. Wóz cały czas jedzie, dniem i nocą, a Dubhe wciąż ma zawiązane oczy. Przestała płakać. Czuje się otepiąta, znowu wydaje jej się, że nie istnieje. Prawdziwa ona jest bardzo daleko stąd, gdzieś w Selvie, obok ojca i matki.

Dopiero trzeciego dnia podróży chłopak nagle się podrywa.

– Co ty robisz? Nie tak ci kazali! – mówi tkacz.

– Cicho bądź... to przecież dziecko.

Chłopak zbliża się do niej, Dubhe czuje na twarzy jego oddech.

– Jesteśmy bardzo daleko od Selvy, rozumiesz? Nawet jeżeli uciekniesz, nie możesz tam wrócić. Teraz rozwiążę ci rękę, ale ty musisz mi obiecać, że będziesz grzeczną dziewczynką.

Dubhe kiwa głową. Czy ma jakiś wybór?

Chłopiec rozwiązuje węzły, a dziewczynka dotyka nadgarstków. Czuje piekący ból. Nie zdawała sobie sprawy, że sznur poobcierał jej rękę.

– Nie ruszaj się, bo będzie gorzej.

Chłopiec polewa jej otarcia wodą. Wkłada jej w dłoń chleb.

– Ty chyba chcesz mieć kłopoty – nie daje za wygraną tkacz.

– Cicho siedź i nie patrz! To, co robię, to moja sprawa!

Potem Dubhe czuje na swojej dłoni chłód ostrza.

– Co to jest? Nie chcę!

– Weź to i nie marudź – mówi sucho chłopak. – Las, świat... To straszne miejsca.

Musisz nauczyć się bronić. I użyj go, jeżeli ktoś będzie chciał cię skrzywdzić, rozumiesz?

Dubhe znowu płacze. Wszystko jest takie absurdalne, poplątane.

– Nie możesz płakać. Musisz być silna. I nie próbuj do nas wracać. Ludzie są źli, to dobrze, że odeszłaś.

Potem głaszcze ją po głowie. Pieszczota szorstka i niezgrabna.

– Zawieź mnie do domu... – błaga go Dubhe.

– Nie mogę.

– Zawieź mnie do taty...

– Jesteś silną dziewczynką, wiem o tym. Dasz sobie radę.

Znowu zapada cisza, ale Dubhe ściska teraz w dłoni rękojeść sztyletu.

Kiedy docierają na miejsce, słońce stoi już wysoko. Chłopak wreszcie zdejmuje jej opaskę, a oślepią Dubhe mruży oczy. Jest ciepło, cieplej niż w Selvie, a w powietrzu unosi się osobliwy zapach.

Chłopiec patrzy na nią nieco zmieszany.

– No to teraz idź sobie.

Dubhe stoi w miejscu z przewieszoną przez ramię torbą i sztyletem w dłoni.

– Musisz odejść. Chcieli cię zabić. A jednak ocalili ci życie! Uciekaj!

Dziewczynka zerka za siebie, gdzie rozciąga się las, którego nie zna.

– Prosto przed tobą jest wioska, idź tam – mówi chłopak, a wóz już rusza.

Dubhe odwraca się nagle do niego, próbuje za nim biec, ale wóz przyspiesza i chociaż mała biegnie, nigdy nie uda jej się go dogonić.

Wóz otacza kurz, a Dubhe zostaje sama w tej obcej puszczy. Stoi nieruchoma.

Nigdy już nie zobaczy Selvy ani swojego życia, teraz pojmuje to jasno.